

Przód świata

27 listopada 2008

Nie tak dawno rozmawiałem z pewną panią. Kupowała działkę nad Bałtykiem. Ja, jak to ja, biadoliłem, że szkoda, iż tam, gdzie jeszcze do niedawna były tak zwane nieużytki, zagajniki i krzaki, w których przytulnie mogły się chować dzikie zwierzęta i śpiewać ptaki, teraz będą najpierw siatki płotów, potem zjawi się tak zwana infrastruktura, potem domki, a potem wielkie domy i cała reszta. Pani-inteligentka wiedziała, że mam swoją smutną rację, ale rzekła, że „świat idzie do przodu” i nic na to nie poradzimy.

Karen Blixen w swoim znakomitym portrecie Berkeley’ a Cole’ a i Fincha-Hattona – dwóch angielskich dżentelmenów, którzy zamiast cieszyć się wygodą zachodniej cywilizacji woleli spędzać czas w obozach na afrykańskiej sawannie, napisała, że faktycznie byli oni emigrantami, którzy uciekli z pozornie przytulnej Anglii do niewygód tropiku. Co ciekawe, obaj czuli z tego powodu wyrzuty sumienia, tak jakby uciekli z cywilizacji, w której wyrosli, a której ich szlachetne dusze nie mogły znieść. Podobnie można traktować wyjazd Gauguina na „wyspy szczęśliwe”, gdzie zamiast malować eteryczne mieszczki mógł zachwycać się urodą ostatnich „dzikich” kobiet. Wspaniale opisał to Somerset Maugham w swoim „Księżycu i miedziaku”. Inny przykład tego zjawiska to historia buntu na Bounty. W polskiej literaturze pisali o tym m.in. Sergiusz Piasecki i Andrzej Bobkowski.

George Orwell i bohater jego „Roku 1984” oazy wolności i ratunku przed terrorem politycznym upatrywali w świecie proli. Aldous Huxley zniewolonemu przez technologie społeczeństwu „nowego wspaniałego świata” przeciwstawił „dzikiego” żyjącego na terenach, których „nie opłacało się” „rozwijać”. Huxley za jedną z głównych przyczyn obecnej katastrofy uważał przeludnienie, które znalazło swoją polityczną artykulację z jednej strony w „buncie mas”, z drugiej zaś w coraz

doskonalszych technikach manipulowania nimi.

Jeden z najbardziej charakterystycznych procesów naszej epoki zaczął się jakieś 500 lat temu w renesansowej Anglii, gdzie zaczęto grodzić – wtedy jeszcze kamieniami i żywopłotami – wspólne przedtem pola i łąki. Podaje się różne tego przyczyny. Kto wie, może ssaki z gatunku homo sapiens na stosunkowo ograniczonym z racji bycia wyspą terytorium, gdzieś podświadomie po raz pierwszy poczuły, że to, co dotąd wydawało się niewyczerpanym rogiem obfitości, ma skończony charakter i że aby przechować własne geny, trzeba zabezpieczyć dla nich jakieś minimum terenu.

Oczywiście potem przerodziło się to w pozornie coraz większe, nieuzasadnione racjonalnie fortuny. Z drugiej jednak strony proporcjonalnie do ich wzrostu rosło też chyba poczucie zagrożenia oraz świadomość skończoności świata i jego zasobów. Dzisiaj żeby być pewnym przeżycia w momencie, gdy to, co już trzeszczy, zacznie się walić, nie wystarczy mieć wielkiej posiadłości w jednym kraju, bo przecież nie wiadomo, w którym kraju to się zacznie najpierw i z której strony. Czy najpierw zaleje woda, czy spali słońce, czy przedtem będzie krach piramidy finansowej, czy przyjdzie jakiś wirus? A może pokolenie kibiców lub dresiarzy, którym w mózgu nie rozwinęły się uczucia wyższe – ich dzieciom też się nie rozwiną.

W Polsce od kilku lat nie przybywa ludzi, a jednak przybywa stale autostrad, coraz nowe tereny zamieniane są w podmiejskie osiedla, najlepiej, gdy otoczone płotem i monitorowane. Kolejni nowobogaccy uciekają z miast „pod las”, potem następni ich przeskakują i choć wydawało się to niemożliwe, wycinają objęty ochroną kawałek lasu i teraz oni na krótko cieszą się swoim sukcesem, aż nie spotkają emigrantów z sąsiedniego, zajętego przez biedotę miasta.

W moich rodzinnych Gliwicach, tam, gdzie kiedyś chodziłem na spacer „za miasto” czy „na miedzę”, wyrosły domy. Zbudowali je ludzie, którzy chcieli ciszy na własność. Teraz inni ludzie

zdecydowali, że opodal przebiegnie autostrada Drezno – Kijów. Trzeba więc będzie uciekać dalej. Na pięknej kiedyś alei Waszyngtona na krakowskim Salwatorze po jednej stronie promenady wyrósł wysoki płot z napisem: „teren budowy, wstęp wzbroniony – uwaga złe psy”, co częściowo wiąże się z tym, że budowa jest nie do końca legalna. Po drugiej zagospodarowuje się – jak mówią niektórzy – „chaszczce” i tam, gdzie kiedyś były dzikie łąki kipiące urodą polnych kwiatów i życiem zwierząt, powstanie plastikowa rynna, głośniki, kiełbaski i szpetne budowle. Na spacer trzeba będzie chodzić – a może już jeździć – gdzieś dalej.

Tak jak kiedyś ludzie uciekali przed dzikimi zwierzętami, tak teraz, po z pozoru definitywnym pokonaniu innych przedstawicieli fauny i flory, zaczynają uciekać przed innymi przedstawicielami homo sapiens. Na Wyspie Wielkanocnej po wycięciu drzew i wyrżnięciu zwierząt doszło na nowo do kanibalizmu. W Rwandzie, dzięki nowoczesnej medycynie, o życie trzeba było znowu walczyć maczetą. W Polsce drzewa już umierają i to nie tylko kasztany, coraz mniej jest klonów, chorują dęby i jesiony. Chorują, bo ludzie używają samochodów – to dzisiaj przede wszystkim środek na uniknięcie nie tylko przejechania przez innych, ale także ochrona przed pobiciem lub wyrwaniem torebki. Ale jak to bywa ze zbyt prostymi sposobami, także i to ma swoją cenę – kilka tysięcy trupów i kilkanaście tysięcy kalek rocznie.

Bo dzisiaj nie ma już końca świata, na który można by uciec. Opanowaliśmy świat i przód zetknął się z końcem. Czy chcemy czy nie, musimy popatrzeć sami na siebie tak, jak dotąd patrzyliśmy na to, co „dzikie” i na odwrot.

Autor: Olaf Swolkień

Źródło: [Obywatel nr 5 \(19\) 2004](#)